Walerja Marrené-Morzkowska.

FRAGMENT

WYDANIE DRUGIE

FRAGMENT

Walerja Marrené-Morzkowska.

FRAGMENT

WYDANIE DRUGIE

OD WYDAWNICTWA.

W roku bieżącym dnia 10 października upływa dziesiąta rocznica skonu popularnej i znanej w swoim czasie autorki. Wydawnictwo nasze pragnąc uczcić jej pamięć i przypomnieć czytelnikom niezasłużenie zapomnianą postać, w tomiku niniejszym wydaje jedną z drobnych powieści, lecz niezmiernie charakterystycznych dla twórczości Marrené-Morzkowskiej.

Florencja 1913.

Wśród majowego wieczoru, siedziałem na otwartej werendzie, ocienionej dzikiem winem i bluszczem. Słońce spuszczało się ku zachodowi wielkim kręgiem, rozpościerając po niebie gorąco fjoletowe barwy; w powietrzu drgającym wiosenną rozkosz ąi blaskiem, dzwoniły pieśni skowronków, słowików, brzęczały miryady owadów i głos wesela podnosił się z najskrytszych zakątków świata. A ja spoglądałem na wszystko upojony, bo te radosne dźwięki odbijały się w moim łonie. Obok mnie stała narzeczona moja Marynia i głos jej srebrzysty dzwonił mi w uchu na tle słowiczem, oczy jej błękitne, jak niebo,

zdawały się blask słońca odbijać, a czoło białe jak śniegi, jak lilje, schylało się pod ciężarem złotych warkoczy, czy rozkosznej zadumy. Stała przy mnie, jak obraz wiosny i szczęścia, drobną rączką obrywała listki bzu i akacyi, obsypując mnie, tym wonnym śniegiem. Matka moja siedziała o kroków kilka, ręce jej złożone były jakby do modlitwy, wzrok odwrócił się od czytanej książki i spoczął na nas promienny łzą szczęścia. Ta twarz ocieniona białemi włosami, na której bruzdy cierpienia i myśli nie zatarły pierwotnej piękności, powleczona przejrzystą bladością, jaką malarze kładą na twarze męczenników i świętych; ta twarz, którąm oglądał we wszystkich fazach boleści, dziś po raz pierwszy ukazała mi się przeobrażona moim weselem, rozjaśniona moją nadzieją. I byłem w tej chwili, bardzo szczęśliwy, na wpół senny, na wpół rozmarzony, zapatrzony, w te dwa oblicza ukochane, zatopiony, w ich i własnym szczęściu, zapominałem

o reszcie świata.

Takich chwil, zapewne nikt wiele nie naliczy w życiu, składać się na nie muszą, świat wewnętrzny i otaczający. Czasem, na przekór pojęciom naszym, przychodzą samowolnie i opuszczają nas bez przyczyny, jakby zależały od tajemniczych wpływów. Często wybiera je piorun, gdy w nas ma uderzyć.

Po długich latach burz i niepokoju, po namiętnych walkach, wracałem do rodzinnego domu, nie bez ran ukrytych i krwawych wspomnień, ale uspokojony. Zbytek sił, zużył się we mnie, wykipiała pierwsza młodość. Nauczyłem się litować bez pogardy, cierpieć bez szemrania, i kochać bez szaleństwa, nie wiem tylko czym to powinien nazwać stratą, czy zyskiem. Zmęczony życiem, odpoczywałem jak ptak w rodzinnym gnieździe. Nadzieje moje, kiedyś, olbrzymiem kołem zakreślone po świecie, stopniowo malały, aż stały się tak drobne, żem je mógł ująć zmordowaną dłonią;

świetne meteory marzeń młodzieńczych, rozpryśnięte po niebie, rozbiły się i spadły mi pod stopy czarnym zuzlem tylko. Ale w owej chwili, myśl moja nie latała w przestrzeń, nie goniła mar młodości ; nauczony życiem, ceniłem com posiadał, czułem się szczęśliwy jakimś biernym, nieokreślonym szczęściem, duch mòj drzemał, a w sercu była doskonała cisza, może cisza przedburzna.

W tej chwili, konny posłaniec, zatrzymał się przed bramą i szedł ku nam z paką gazet i listòw. Ujrzałem go z daleka, mimowolnie jakiś niepokòj mnie ogarnął i nierad byłem, że nam przerwał tę chwilę ciszy. Ale Marynia, ujrzała go także, z żywością dziecka poskoczyła ku niemu, pochwyciła paczkę ciekawie, i rozwinęła na stole. Machinalnie patrzyłem na nią, — wśròd gazet, żurnali i listòw, wzrok mòj padł na zbrudzoną kopertę i utkwił w niej, przyciągany niepojętą siłą.

— To list do ciebie, rzekła Marynia,

podając mi go niedbale.

List ten, tak był obłożony pieczątkami pocztowemi, że zrazu trudno było dopatrzeć podpisu; od dawna widać był w podróży, i gonił mnie po szerokim świecie, przebiegał różne kraje, zatrzymywał się w różnych miastach, aż wreszcie dobiegł mnie, i zatrzymał na progu szczęścia.

Obracałem go w ręku, przejęty dziwnym niepokojem, aż spojrzałem na podpis zatarty, niewyraźny, jak gdyby go drżąca nakreśliła ręka. Poznałem pismo i oddech mi zamarł na ustach, serce nierównym biciem rozrywało piersi: pożerałem wzrokiem ten świstek papieru, co przynosił mi upajającą woń wspomnienia, odnowił wszystkie rany przeszłości, i znów cierpieniem, budził mnie do życia. Czułem, żem bladł i mienił się, bo niepodobna, by wewnętrzny ogień nie odbił się na twarzy, gdyby oczy Maryni nie były tak niezmąconego błękitu, gdyby czoło jej nie było tak przezroczyste, tak gładkie, byłaby pe-

wnie odgadła wzruszenie moje, a idąc od wzruszenia do przyczyny, zrozumiała wiele rzeczy dla niej niepojętych. Trzymałem ten list w drżących rękach, spoglądałem na litery, smukłe, pochylone, których tyle wyryło mi się w pamięci, a nie śmiałem rozłamać pieczątki, i zapytać co mi przynoszą. Czułem, że one zamykały los mój, wyrok przyszłości, a duch rozstrojony gwałtownym wstrząśnieniem, nie był wstanie go wysłuchać. Zbrakło mi naraz męztwa i siły, spokój zdobyty latami cierpień, bojowaniem ciągłym, bierna odwaga zniechęcenia, wszystko rozwiał jeden podmuch przeszłości, na sam widok tego pisma stałem się znowu namiętnym i szalonym jak dawniej.

W tej chwili śmiech Maryni wstrząsnął mną i zbudził do rzeczywistości; dziewczyna widząc, że nie zważam na nią, przybliżyła się na palcach, i znienacka sięgnęła po ten list, co był przyczyną roztargnienia mego, śmiejąc się srebrnym

śmiechem niewiadomości. Zerwałem się gwałtownie, odpychając ją bezmyślnym ruchem, a wzrok mój musiał odbijać zmącone myśli wyraźnie, bo dziewczyna cofnęła się zdziwiona i przelękła. Spojrzałem na nią opamiętany trochę i dziwna — rysy jej delikatne, napiętnowane niewysłowioną słodyczą wydały mi się teraz pospolite i płaskie. Zniechęcony, zwróciłem się w inną stronę, wiodąc w koło niepewnym okiem, bom nie poznawał już samego siebie. Słońce zaszło od dawna, sposępniał horyzont, wiatr smutnie szeleściał wierzchołkami drzew. Marynia odeszła zasmucona, woń wesela uleciała mi z serca, a natomiast żar co tlił się w piersi przysypany popiołem czasu, wybuchał niepohamowanym płomieniem, topiąc wszystkie inne uczucia. Tylko głębokie i smutne oczy matczyne, tkwiły we mnie, niepokoju i miłości pełne. Nie mogłem znieść tego wzroku, i uciekłem daleko, pilno mi było zajrzeć sam na sam, w głąb mego ducha,

popuścić wodze wspomnieniom, zrzucić kłamany spokòj nakazany twarzy, i ukryć łzy namiętne, co drgały mi na powiekach gryząc oczy palącą goryczą. W głębi szpaleru rzuciłem się na wilgotną murawę, i przyciskając czoło do ziemi, zagłębiłem się w ten chaos wspomnień, które jak widma zbudzone z grobowego uśpienia, otaczały mnie nieubłaganym kołem. I myśl uniosła mnie w lata dawne, w kraje cudze, w przeszłość.

I.

Byłem tak młody wówczas, a tak rozmarzony; piersi kipiały mi lawą uczuć, myśli obejmowały świat cały, i jeszcze świat im był ciasny. Zagnany w dalekie kraje, błąkałem się między obcymi ludźmi, posępny i rozgorzały, a oddzielony od nich, o całą odległość pojęć moich, o całą siłę uczuć. Tęsknota trawiła mnie straszna i wprawiała umysł i ciało w jakiś stan chorobliwej drażliwości, gorączkowego roztkliwienia. Duch szarpany niepokojem — bez celu, serce spragnione i otwarte — bez straży. Byłem w jednej, z tych niebezpiecznych chwil życia, które o całej stanowią przyszłości.

Wszystko co wysokie i jasne, zdawało mi się chlebem codziennym; znałem wprawdzie życie z gorzkiej i nizkiej strony, ale doświadczenie jeszcze nie było wstanie zwalczyć wszystkich sił ducha, które parły mnie z dròg codziennych na samotnę ścieżki myśli mojej. I cóż dziwnego żem napotkał boleść i stracił wszystkie młode nadzieje, los strzegąc mnie od zawodu i skazując na nieszczęście tylko, jeszcze litościwym okazał się dla mnie. W władzach ducha, w wartości moralnej i zdolnościach człowieka zawarty jest może los jego, i gdyby wszystkie wewnętrzne siły dały się liczbami określić, możnaby z tych danych wyprowadzić przyszłość jasną i nieomylną jak pewnik matematyczny. Ta wiara tłòmaczyłaby wiele rzeczy, pokazywałaby dotykalnie nieubłaganą sprawiedliwość, rządzącą ludźmi i światem przez ludzi, gdyby znòw nie nasuwała tego pytania: « Dla czego jesteśmy, czem jesteśmy? ».

Bądź jak bądź, zaświatowe wpływy, spuścizna przeszłych pokoleń, wychowanie czy pierwsze wrażenia, skazały mnie na żywot męczeński. Wszystkie uczucia podnosiły się do wyższej potęgi, a nastrój myśli o wiele przenosił kamerton ogólny, nawet owe subtelne nerwy, którymi się duch posługuje, obdarzone były szczególną czułością, drgały od najlżejszego wstrząśnienia. Dźwięk, słowo, promień słońca, lub chmura, wprawiały je w ruch, drażniły rozkoszą lub bólem. Najcięższe chwile moje, może były te właśnie, gdziem się pasował z cierpieniem bez nazwy, najrozkoszniejsze winienem nieznanym przyczynom. Fakta też i słowa miały zawsze dla mnie jakieś odnośne znaczenie, i to stanowiło ich wagę rzeczywistą. Ale w czasach, do których sięgam pamięcią, te wszystkie rozumowania nie przeszły mi przez głowę; byłem zarazem twórcą i ofiarą wrażeń moich, szedłem przez świat, nie myśląc o świecie, zasłuchany tylko w

dźwiękach własnego ducha.

Nie wiem już jaka fantazja, czy burza, zagnała mnie ku północy, na skalistą wysepkę Helgoland. Miejscowość dzika; szum fal nieustanny, wiatr przesiąkły rzeźwiącym aromatem morza, wszystko razem przypadło mi do smaku, wtòrowało zgodnym echem myślom moim. Przywykłem z tej granitowej skały, spoglądać w horyzont nieskończony, śledzić bieg chmur w gòrze i wiry fal pod stopami, kołysać się w drobnej łodzi, około olbrzymich ścian wyspy, zaglądać w oczy niebezpieczeństwom i w nich poznawać siłę własną; nieraz zawieszony nad przepaścią, kładłem rękę na sercu i rachowałem jego bicia. Niezrażony szczupłością przestrzeni, wszerz i wzdłuż przebiegałem wyspę w codziennych przechadzkach, lub przewiózłszy się na piaszczystą zaspę, zwykłe miejsce kąpieli, chodziłem po zasłanym muszlami wybrzeżu, a morska piana oblewała mi stopy. Tłum gości kąpielowych

zaludniał Helgoland, mało zważałem na przybywających i małom się z nimi łączył, nie spotkałem sympatycznych twarzy; zresztą w owych czasach bogactwo fantazji mojej, było tak wielkie, żem starczył samemu sobie, niepotrzebowałem ludzi i zostawałem z nimi w obojętnych stosunkach.

Dziwnie dobrane były ramy do serdecznego dramatu, pełnego łez i bólu, za tło służyły mu krwawo czerwone skały, za ramy—smutne, sine i spienione fale północnego morza.

Z okien mieszkania mego, w górnym mieście, widziałem wijące się na dół wielkie wschody, dalej ciasne uliczki i wysokie domy, których dachy tuliły się pokornie do stóp skały, a dalej morze i zaspę, jak wielką, żółtą plamę na jego powierzchni: nad domem jeszcze wybiegała wieżyczka z galerją odkrytą i ztamtąd, nic już nie krępowało wzroku, panowałem nad całą wyspą, mogłem zaglądać do sąsied-

nich domów, lub zwróciwszy się w inną stronę widziałem tylko morze i morze. Lubiłem tam siadać przy zachodzie słońca, szum fal i wiatru, dziwnie kołysał umysł, nieruchomy, rozmarzony, siedziałem nieraz długie godziny, wpatrując się w świat fantastyczny wyszły z wyobraźni mojej, co otaczał mnie, żył i drgał moim życiem ; mewy i wielkie rybitwy, dotykały mnie nieraz skrzydłem w swoim locie i rzucały w koło mnie, w ponurym powietrzu swój krzyk złowrogi.

Tak mijały mi dnie niepostrzeżone, w jakimś stanie snu na jawie, aż wielka, moralna burza, której żywioły zbierały się od tak dawna, w ciszy serca mego wybuchła, uniosła mnie szalonym prądem, na przeciw marzeń bez granic, postawiła ciasne szranki najcodzienniejszych przeszkód, i rozbiła życie o niezwalczoną skałę niepodobieństwa.

Pamiętam jak dziś, dzień był parny, południowa burza wisiała w powietrzu

powlekając niebo ołowianym całunem, morze gładkie i bez piany było w ciszy ciężkie, bezbarwne ; atmosfera gorąca, dusiła piersi, odurzała umysł, rozemdliwała ciało.

Wszedłem na wieżę, i wsparłszy się na balustradzie, patrzyłem na ptactwo morskie zakreślające wielkie koła po nad wodami, na białe żagle rybackich łodzi dążące do brzegu, na świat, który za chwilę miał się rozdźwięczeć walką żywiołów—i myślałem—o czem ? Ta chwila tak mi jest przytomną, że pamiętam nawet ulotne myśli moje. Myślałem, że życie moje marnie upływa, że kto wie, czy ten rybak co wraca z połowu, uciekając przed burzą, walcząc z niebezpieczeństwem i trudem, nie jest użyteczniejszym i lepszym odemnie. Myślałem, że daleko, w rodzinnym kraju tęsknią za mną i duszą przeniosłem się do niego, widziałem wszystko com ukochał ; gdy nagle kilka słów wymówionych po polsku, dorzuciło ton nowy, do marzeń

moich, i razem zbudziło do rzeczywistego życia. Spojrzałem w około. O kilka kroków zaledwie, w sąsiednim domu na niższym balkonie, siedziało kilka osób, balkon był tak położony, żem mógł rozeznać najdrobniejsze szczegóły, słyszeć każde słowo wymówione, sam nie będąc widzianym. Nie miałem myśli ukrywania się, lub podglądania, ale głos, który mnie doleciał był tak czysty, słowa wyrzeczone były tak miękkie, i wszystko razem tak odpowiadało tęsknotom moim, żem się pochylił szybko, szukając tej, co je wyrzekła.

Była to kobieta młoda i dziwnie piękna, twarz jej biała jak kość słoniowa, bez śladu rumieńca, nosiła mgliste, nieujęte piętno cierpienia; barwą i wyrazem, przypominała rośliny hodowane bez słońca, a w tej bladej twarzy świeciły oczy wielkie, smutne i głębokie—takimi były w tej chwili przynajmniej, poznałem później jakie połyski świeciły w ich głębiach. Siedziała

niedbale w tył przechylona na wielkim fotelu, obwinięta białym, lekkim ubraniem, które drapowało się w koło smukłych kształtów, i nadawało im wdzięk niewyszukany. Snać odpoczywała po kąpieli, bo włosy czarne, przesiąkłe jeszcze słonym wyziewem, spadały splątane na ramiona, i rozsypując się po poręczy, sięgały ziemi. Ręce jej jak gdyby z marmuru wykute, obnażone po ramiona, zwieszały się na kolanach. Wszystko w jej wyrazie, postawie, ruchach nawet, zdradzało zniechęcenie, czy znękanie nieuleczone, pociągało niepojętą słodyczą rozlaną w spojrzeniu, uśmiechu i głosie. Snać los nie uskąpił jej żadnego ciernia, i życie żadnej goryczy, znać łzy wypiły rumieniec jej lica, i natomiast ukoronowały jej młode czolo, majestatem cierpienia. Jednak nie było na jej ustach skargi ni roztkliwienia, dziwny spokój wionął od tej kobiety, beznadziejny spokój rezygnacji, dumnego poddania, ukrytej siły. Jam patrzał na nią nieruchomy, nigdy

jeszcze twarz ludzka, nie wcieliła tak dokładnie marzeń moich, nie odpowiedziała kapryśnym zachceniom ideału. Może ukazała mi się ona w danej godzinie, może na wrażenia tej chwili składały się lata, może?... Ale któż postawi granicę podobnym pytaniom, kto na nie odpowie? Teraz los był rzucony, mogłem zamknąć, lub odwrócić oczy, twarz ta wyryła się w sercu moim, niestartym stygmatem....

Ona jednak nie domyślała się wcale uczuć wzbudzonych we mnie, nie odczuła płomiennego wejrzenia, które ją otaczało. U kolan jej, bawiło się dziecię, piękne nadziemską pięknością istot, skazanych na śmierć przedwczesną, wzrok jej spoczywał na niem z taką miłością, że odgadłem, iż to było źródło jej życia, przyczyna radości i smutków. Dziecię, dziewczynka lat kilku zaledwie, była jak cień delikatna i wiotka, rysy jej przypominały matkę, ale patrząc na te oczy podkrążone, z długimi czarnymi rzęsami, na twarzyczkę

wychudłą, na blade usteczka, litość brała nad dzieckiem i nad matką, co na tak wątłej istocie oparła życie. To też oczy kobiety spoglądając na córkę, smutniały jeszcze i mgliły się łzami.

— Alinko moja, mówiła, tuląc jej główkę do kolan, a głos jej przechodził drżący, w ledwo słyszalne dźwięki, samo brzmienie jego już było pieszczotą.

Dziecię jednak śmiało się i swawoliło, nie pojmując ani niebezpieczeństwa, ani niepokoju co je otaczał, a śmiech niewinny odbijał dziwnie przy łzach drgających nad jego głową.

Dopełniała tę grupę, kobieta średnich lat i pospolitej choć poczciwej twarzy, ubranie jej wskazywało, że trzymała miejsce pomiędzy ochmistrzynią, a panną służącą. Czynna i ruchliwa, zajmując się dzieckiem, rozciągała opiekę i nad matką; był to rzadki i niknący już typ starej sługi, przechodzącej w spuściźnie dzieciom od rodziców i los swój wiążącej z ich losem.

— Niechże się pani nie martwi, mówiła, otulając maleńką ciepłym szalem, bo podmuchy wiatru czuć się dawały krótkie, ale gwałtowne i grzmot daleki rozlegał się przeciągle, odbijając od skał otaczających wyspę. Alinka znacznie rzeźwiejsza od dni kilku, powietrze tutejsze wyraźnie jej pomaga.

— Doprawdy?... odparła matka, z niedowierzaniem, rozgarniając czarne pukle włosów na jej czole, i wpatrując się w nią z zachwytem,. Oh! Brygido, dodała nagle, zwracając się ku niej, z namiętnym wyrazem w głosie, Bóg nie może mi jej odebrać.

I zakryła twarz rękami, jakby przerażona brzmieniem słów własnych, w których wybuchała trwoga długo tajona.

Nie dosłyszałem odpowiedzi, bo w tej chwili nadciągnęła burza i zapanowała samowładnie. Łoskot fal i grzmotu pokrył wszystkie inne głosy, opróżnił się balkon, ale jam pozostał na miejscu, zapominając

o burzy, nie czując wichru co wstrząsał posadą wyspy, ani deszczu, którego strumienie zimne nie ochładzały mi czoła. W koło mnie szalały żywioły, ogniste wstęgi piorunów krzyżowały się na tle chmur czarnych, bałwany wzbijały się i piętrzyły coraz wyżej, niby olbrzymie łańcuchy gòr z śnieżnymi szczytami, co kręcą się i podskakują w tańcu fantastycznym. Myśl moja była gdzieindziej, w oczach stała mi ta postać, co ukazała mi się i zniknęła jako błyskawica, zostawiając tylko olśnione źrenice.

Nazajutrz, wstałem rano po nocy bezsennej, niezwalczona siła ciągnęła mnie na wieżę, próżno jednak strawiłem tam godzin kilka, balkon był otwarty, ale nikt nie wychodził. Zmordowany wreszcie opuściłem moje stanowisko i zeszedłem szybko do przystani. Była to godzina kąpieli; łòdź przewozowa na zaspę właśnie odpływać miała, ujrzałem w niej Alinkę z Brygidą; serce zabiło mi dziwnie na widok

tego dziecka, wskoczyłem do łodzi i usiadłem tuż przy niej. Ile zużyłem dyplomatycznych wybiegòw zanim od słòw: « Co za śliczne dziecko », zawiązałem rozmowę z Brygidą; jak wielkie zakreślałem koła, by dojść do najprostszych zapytań, jak przebiegle podchwytywałem jej słowa, naprowadzałem na tor rozmowy, jak użyłem 10—cio minutowej przejażdżki, by zdobyć zaufanie rozpieszczonego dziecka,—sam nie wiem już dzisiaj i wytłòmaczyłbym jakimś zmysłem, właściwym tylko zakochanym. Dość, że kiedyśmy przybili do zaspy, wiedziałem: iż przyjechali do Helgoland, by dziecię to skazane na śmierć od kolebki, a cudem matczynej miłości utrzymane dotąd przy życiu, oddychało powietrzem morskim, wiedziałem, że imię matki było Łucja. Alinka, którą wziąłem na ręce przy wysiadaniu, uczepiła się szyi mojej, wołając bym z nią zbierał kolorowe muszle, obficie na piasku rozsiane; i mimo przedstawień Brygidy upar-

cie trwała przy swojem. Błogosławiłem po cichu tę fantazję dziecka, drżąc tajemną, rozkoszą, gdy drobne jej i blade rączęta przesuwały się po mojej twarzy, zdawało mi się, że czuję na jej włosach pocałunki matki, że słyszę znowu ten głos pieszczotliwy, mówiący : « Alinko moja ».

Powolność dla chorej dziewczynki zyskała mi widocznie ufność Brygidy, rozmawialiśmy chodząc po wybrzeżu. Mówiła z miłością o jej matce, którą wychowała i skąpo i niechętnie o ojcu, bawiącym u wód, zkąd miał za parę tygodni przyjechać po nich, a słowa jej potwierdziły tylko cały poemat, osnuty w myśli mojej.

Po tym spotkaniu, wzmógł się tylko gorączkowy stan mojego ducha, tak że już miejsca nie mogłem znaleźć sobie, przebiegałem ciasną przestrzeń wyspy, nie wiedząc sam czegom pragnął, com marzył, zatopiony w obrazach myśli, począłem lękać się rzeczywistości, by te powietrzne bańki nie rozbiły się o nią nie-

powrotnie. Miłość moja nie mogła jeszcze sformułować się dokładnie, nie miała żadnej podstawy, była przeczuciem dopiero. Któż mógł odgadnąć czy rzeczywiste spotkanie z tą kobietą, nie rozwiałoby uroku jednej przemarzonej chwili. Wówczas mogłem walczyć jeszcze, powinienem był bronić się ucieczką, alem nie miał siły, czczość serca wydała mi się straszniejszą niż boleść, niż zawód—zresztą los był rzucony, pozostałem.

Nad wieczorem siadłem na ławce przy wielkich wschodach, jedynej drodze łączącej górne miasto z dolnym, i powoli myśl moja poczęła ulatać na skrzydłach wiatru, na chmur kłębach, na pienistych grzbietach bałwanów, duch i ciało zmordowane gorączką, bezsennością, oczekiwaniem, wpadły w stan odrętwienia, patrzyłem przed siebie szklanym wzrokiem i wszystkie głosy rozpierzchłe w powietrzu, mieszały mi się w jeden szmer niewyraźny. Wielkie krople deszczu, padając mi na głowę, zbudziły

mnie nagle, podniosłem oczy: — o kilka kroków, stała ona w czarnej powłóczystej szacie, trzymając dziecię za rękę, stała wyraźnie zakłopotana nagłą ulewą; spoglądała w około jakby szukając pomocy, bo dziewczynka czepiała się jej sukni, płacząc i wzbraniając się iść dalej. Próbowała wziąść ją na ręce, ale siły jej widocznie były za słabe, zaledwie mogła ujść kroków kilka, chwiejąc się od podmuchów wiatru; a tymczasem wzmagała się burza. Wówczas zbliżyłem się do niej, i odbierając Alinkę z jej rąk omdlałych, wyrzekłem jakieś słowa, niezrozumiałe dla mnie samego, zgłuszone świstem wiatru i morza. Kobieta spojrzała na mnie zdziwiona, na dziecię, które zarzuciło mi ręce na szyję, szkarłatny rumieniec wybiegł chwilę na jej twarz bladą; czy wywołało go zmęczenie? ciężar nad siły? czy zrobił to odblask mego wejrzenia, przeczucie lub zrozumienie—nie wiem. Szedłem po stromych schodach, otulając Alinkę od roz-

szalałego wiatru, lekki jak ptak co rozpuścił skrzydła, pragnąc, by chwila ta nie miała końca, by schody, jak w widzeniu Jakóba szły aż do nieba.... Spoglądałem na Łucję, idącą naprzód i zwracającą się ku nam z pół uśmiechem tęsknym i wdzięcznym.

Tak zaszedłem aż do jej mieszkania, sam prawie nie wiedząc o tem. Brygida wybiegła naprzeciwko nam niespokojna, i biorąc dziecię z objęć moich, powitaniem serdecznym uwolniła mnie od oklepanych frazesów, na które w chwili tej zdobyć się nie byłem w stanie, mówiąc kto jestem, opowiadając o rannym spotkaniu. U wód, między współziomkami, znajomości zawierają się szybko ; wkrótce ujrzałem się na przyjaznej stopie w tym saloniku obok niej, gdzie jak do raju zaklętego wzrok mój sięgał napróżno. I wówczas w sercu moim stała się dziwna cisza, zdawało mi sie, że gorączka dnia tego i nocy, była snem marnym tylko ; ta cisza, był to

ostatni urok rzucony jej obecnością, ona to pozwoliła mi jasno spojrzeć na nią i zrozumieć, że wrażenie pierwsze kłamstwem nie było; po nad cały tłum pełzających serc i myśli, mogliśmy spotkać się oko w oko, wśród czystej i niebezpiecznej atmosfery wyżyn. Czar, który padł na mnie, nie był czarem piękności samej, bo piękność jej nawet szła od ducha; wiele łez, wiele bólów złożyło się na nią, Bóg wiedział. Jam przeczuł....

Ciszy tej szukałem potem wśród namiętnych szałów napróżno, a czułem, że tylko przy niej odnaleźć ją mogłem. Odtąd dzieje serca mego stały się nieustannym pasmem wrażeń, budzonych źdźbłowymi wypadkami życia, a duch mój jak harfa drgał wiecznie pod jej dłonią, smutkiem, rozpaczą, tęsknotą i szałem. Pojmą to i zrozumieją ci tylko, co jak ja złożyli serce i życie w jedną wielką miłość i po za nią przestali pojmować możliwość bytu. Bezwładnego każda chwila przykuwała

silniej, tysiącem pajęczych, a nierozerwalnych nici codziennych stosunków. Nie wiedząc o tem, stałem się jej cieniem, bezmyślnie zwracałem się ku niej, szedłem za jej krokami w jakimś stanie jasnowidzenia, czy snu na jawie....

Ileż razy wśród nocy nieskończonych, pełnych marzeń szalonych, burz niepohamowanych, wybiegałem ma wieżę, party niepojętą żądzą, by ujrzeć choć światło migające w jej oknie, choć martwy przedmiot, na którym spoczęła. Gotów byłem całować ślady jej stóp na piasku. A ona? — Ona, wśród żądz i burz, wypływała w myśli mojej, jasna i mglista jak promień księżyca, jak biały anioł smutku i nadziei; wzrok jej głęboki panował nademną; szalony, uspakajałem się pod jego wpływem i piersi wzburzone nie wydawały jęku ni głosu. Rozgorzały, milczałem. Czemu przyszedł dzień, gdziem milczeć przestał?... nie wiem. Nie obrachowywałem nic, nie rozumowałem prawie, nie miałem na-

dziei, ni myśli wyraźnej. Siły ludzkie nie są niewyczerpane.... najdumniejszy jęknie wśród męczarni.

Przyszła chwila, gdziem musiał przemòwić, lub — skonać !...

II.

Byliśmy sami, jak zwykle, na ganku, gwiazdy blado jaśniały na niebie, a po wodzie biegały fosforyczne światła i przypływ morza szumiał po skałach, oblewając je co chwila ognistą falą. Patrzyłem na to długo osłupiały i niemy, aż w oczach poczęły mi się krzyżować dziwne światła, fala krwi ścisnęła mi serce i usta wyrzekły to wielkie słowo, które pokolenie za pokoleniem syllabizuje w księdze życia, jak wieczny symbol ludzkości, jak niedokończony akt wiary. Wyrzekłem je i zadrżałem przed dźwiękiem własnego głosu, nie śmiałem spojrzeć na nią i zamknąłem oczy instynktownie, bo w myśli mojej otwierały się

jakieś otchłanie. Ona pozostała na miejscu, jak gromem rażona i nastała cisza taka, żem mógł rachować uderzenia serc naszych. Nie mogłem znieść jej dłużej, a nie znajdowałem już głosu w piersiach, — czułem tylko jej wzrok na sobie.

— Czyś pan tak bardzo szczęśliwy, wyrzekła w końcu, że sam uparcie szukasz cierpienia. — a głos jej dźwięczał cichy i wyraźny, jakimś serdecznym echem i wracał mi odwagę i siłę.

Podniosłem czoło i zatopiłem w niej wzrok tak pewny i dumny, iż pojęła, że się nie cofnę przed męczarnią nawet. W tej chwili odnalazłem samego siebie i wyspowiadać chciałem wszystkie tajemnice ducha mego, długo tłumione uczucie wybuchało jak lawa potokiem palącym. Łucja zrozumiała to widać, bo wzrok jej stał się błagalnym prawie, a ręka spoczęła na moich ustach, jakby zamknąć je chciała przemocą rozpaczną. Napróżno, ni słów, ni chwili minionej cofnąć nie podobna.

Otworzyłem przepaść pod stopami naszemi, trzeba nam było zmierzyć ją odważnie; prędzej czy później godzina ta nadejść musiała, odkładać jej nie chciałem. Po raz pierwszy może głuchy byłem na jej wolę; pochwyciłem tę rękę, która mi milczeć kazała i przyciskając ją do ust, zwilżyłem namiętnemi łzami. Com ja jej mówił wówczas, nie pamiętam,—wiem tylko, żem całe serce miał na ustach, że życie skupiło się w słowach i miały one nieprzepartą wymowę silnych uczuć, ożywczą siłę przekonania, bo dłoń jej coraz słabiej wyrywała się z rąk moich, wzrok zachodził łzami i zapalał się jakimś ogniem wewnętrznym.

— Czemu?.... spytała z gorączkową siłą, mówisz mi o tem, co być nie może, pokazujesz raj, do którego nie wejdę. Nie masz litości nad sobą i nademną....

Zrazu nie pojąłem, pojąć nie chciałem znaczenia słów jej, czułem to jedno, że miłość moja nie przeszła bez oddźwięku,

że bicia serca mego znalazły echo, żem nie był tak szalony, jak mi to nieraz przychodziło na myśl w chwilach wewnętrznej rozterki. Byłem upojony takim szczęściem, że na nie słów już niema, duch mój rozpływał się w atmosferze rozkoszy i w niej gubił wszystkie inne uczucia. Zapomniałem, że istnieją zawady, niepodobieństwa, — zapomniałem o świecie całym, wiedziałem to jedno, że kocham, że jestem kochany....

Ale gdy trzeźwiejszem okiem zmierzyłem przyszłość, zrozumiałem co powiedzieć chciała. Prawda, świat, ludzie, powszednie pojęcie obowiązku, stało między nami. Wiedziałem o tem, ale czułem w sobie siłę do zwyciężenia wszystkiego, do zdobycia jej, na przekór ludzkim względom. Nie sądziłem tylko, że jej zbraknie mocy, że całą energję swoją zużyje na walkę przeciwko mnie, nie przeciw światu, że o ten puklerz bezwładnej rezygnacyi rozbiją się bez nadziei wszystkie marzenia

moje. Ja przeciw niej byłem bezsilny zupełnie, do walki nie przygotowany. Gdyby miłość moja była więcej rozumowaną a mniej instynktowną, mniej zupełną; gdybym był mògł i chciał chodzić krętemi drogami, ta kobieta niebyłaby mi się oprzeć mogła. Gdyby ona sama miała choć jeden atom zwykłej przebiegłości kobiecej, gdyby chciała była przywabiać i kłamać obojętność, — pozwoliła mierzyć się zwyczajną modłą, życie nasze poszłoby odmienną drogą. Ale nieszczęściem spotkaliśmy się w całej świeżości nieskalanych uczuć, oboje mieliśmy prostotę dzieci, prawość rycerską, hardość ducha pogardzającą fałszem, musieliśmy odcierpieć za to wszystko i jedno drugiemu stać się katem.

Nie przeminęły wieki pogaństwa i faryzeizmu. Dziś, jak dawniej prawdy nie wyznaje się bezkarnie, a biada tym, co palić nie chcą kadzideł bogom fałszywym, bo nie brak cyrkòw, tylko dziś nie mają męczennicy świadkòw ni oklaskòw, konają

samotni. Cierpienie chwili jednej rozkłada się na życie całe, a bòl spłaca zdawkową monetą szpilkowych ukłuć, krew zamiast z jednej wielkiej rany sączy się wszystkiemi porami, a niemniej przeto jest krwią i bòlem.

Łucja kochała mnie, jak ja ją. Mòwiła mi to wejrzeniem i słowem, ale dla niej ta miłość zwała się boleścią i nadawała jakieś rozpaczne piętno jej piękności. Cicha spokojność znikła z jej oczòw, a natomiast grały w nich blaski ponure, falowały łzy, — czoło obarczone chmurami myśli, zwracało się ku mnie z trwogą, schylało blade nad głową còrki. Ta wątła istota byta między nami nieprzełamaną zaporą. Miłość jej dla mnie silniejszą była, niż wszystkie względy i prawa ludzkie. Miłości do dziecka zwyciężyć nie mogła. Umysł jej znękany, trawiony gorączką, tworzył sobie widma straszliwe, lękała się, by Bóg jej nie odebrał tej istoty, ktòra dotąd była celem jej bytu, drżała przedemną

i przed nią a życie jej stało się pasmem męczarni tylko.

Czytałem wyraźnie w jej zmąconej duszy wszystko, czego wymówić nie śmiała i zmuszony byłem szanować nawet dziwactwa jej uczucia, tyle w nich było bolesnej nieudanej prawdy. Czułem się sprawcą jej cierpienia — powinnością moją było złagodzić je o ile mogłem. Schyliłem więc głowę przed jej wolą, stałem się posłuszny jak dziecko jej skinieniom i w tem poddaniu bez granic znajdowałem jakąś gorzką pociechę.

Tak upływały nam dnie w jakimś stanie upojenia i bólu, nie do opisania, a trudnem do pojęcia. Dzień każdy zbliżał nas do nieuniknionej chwili rozstania, która wisiała nad nami jak chmura piorunu, zaciemniając smutny widnokrąg myśli naszych.

Stan ten był nie do zniesienia, a przecież ile razy wracałem potem pamięcią do niego i nazywałem go okresem szczęścia.

Rozumiałem to choć niewyraźnie i chciałem zamknąć każdą chwilę samą w sobie, odwracając wzrok od przyszłości.

Mieliśmy tylko bierną siłę oporu. Poczęła nam ciążyć samotność, ciążyli bardziej jeszcze ludzie. Ja i ona staliśmy się jako chory, który zawsze pragnie zmiany, sądząc, że mu ona ulgę przyniesie. Wyspa stała nam się ciasną i nieznośną, bolesne wspomnienia zaludniły ją widmami, — zapragnęliśmy dalszych wycieczek, jak gdyby przed cierpieniem uciec można. Samotni i rozkochani nie umieliśmy być szczęśliwi, trawił nas ideał nieskończoności. Im większą była miłość nasza, tym mniej chwila obecna starczyć jej mogła. Ona czuła, że ten promień słońca w jej życiu zniknie za chwilę, ja — żem nie był zupełnym panem jej serca. Przeczułem, że nim nigdy nie będę. A jednak mimo to wszystko, siły uczucia i młodości zwyciężały niekiedy ponure przeczucia i na przekór przyszłości byliśmy szczęśliwi, jakiemś gorącz-

kowem, beznadziejnem szczęściem — jak dzieci używaliśmy życia bez troski. W jednym z dni takich ułożyliśmy całodzienną wycieczkę na pełne morze; chcieliśmy stracić ziemię z oczu choć na godzin kilka, a z nią razem wszystko co nas dzieliło, zapomnieć o rzeczywistości. Zakochanym tak mało do szczęścia potrzeba, iż rozeszliśmy się wieczorem uspokojeni nadzieją jutra.

Ale nazajutrz czekałem długo u drzwi jej niecierpliwy, łódź gotowa była oddawna. Łucja wyszła w końcu, ale tak blada, tak chwiejąca, że podałem jej rękę w milczeniu i o nic pytać nie śmiałem. Szliśmy powoli, dłoń jej jak lód zimna, wspierała się na mnie, a jednak drgała od gwałtownego krwi biegu, oczy jej w głąb zapadłe świeciły niewysłowionym blaskiem cierpienia. A przed nami roztaczał się widok cudny, świat zdawał się wzywać do szczęścia, niebo i morze uśmiechały się niezmąconym błękitem, ruchliwa fala

połyskała słońcem, granitowe skały nawet, oświetlone porannym blaskiem, spowite mgłą srebrną, traciły ponurą krwi barwę. Powietrze było lekkie i rzeźwiące, podmuchy wiatru wesoło wzdymały żagle.

W milczeniu wprowadziłem ją do łodzi, ułożyłem poduszki, na których spoczęła, sam wsparłem się o maszt o kroków kilka. Pod wpływem sprzecznych uczuć zozumiałem że godzina się zbliża, że grom wiszący nad nami uderzył i dotknięcie rzeczywistej boleści pasowało mnie na męża, dodawało siły i bodźca. Wesołość świata wpływała na mnie, przeciwważąc wewnętrzne wrażenia. Szczęście tak było blizkie, żem nie mógł w nie przestać wierzyć. Skrzepiony na duchu, czułem się zdolnym dla niej świat dźwignąć.

Tak dawno zżyłem się z samym sobą, w kole własnych idei, tak daleko stanąłem od pojęć ogólnych, że najhardziejsze pomysły przestały mi się wydawać szaleństwem. Wartość słowom nadaje indywi-

dualna duchowa skala, niepodobieństwem staje się wiara w niepodobieństwo. Wola pojedynczego człowieka nieraz zmienia dzieje narodów, jakżeby zmienić nie miała losu jednostki. Wierzyłem w to jak w wiele innych rzeczy i ta wiara została mi w sercu, choć jej nie potwierdziło życie. To w co wierzymy istnieć musi, staje się faktem przez to samo, że wiarę wzbudza. Ja com był gotów zerwać ze światem całym dla niej jednej, com ją kochał z zaparciem i prostotą dziecka, czyż nie miałem prawa sądzić, że tak samo ukochanym będę. Nie jestem wyjątkiem w społeczeństwie, serce moje bije tak samo, jak inne serca ludzkie, czemużbym w nich echa znaleźć nie mógł.

Powietrze, którem oddychałem na tej wysokiej skale, było czyste jak atmosfera duchowa, wśród której poczęła się i wzrosła ta miłość. Swiat nie wmieszał się dotąd pomiędzy nas, nie zbrudził jej pyłem szyderstwa i nieufności, nie stawiał nam

tych drobnych, konwenansowych zawad, które trzeźwiąc co chwila, nakazują wracać do realnych warunków życia. Okoliczności, wśród których poznaliśmy się i pokochali tak swobodnie, były jedyne, które mogły odebrać nam rozwagę i popchnąć na drogi nowe. W tej chwili myślałem o przyszłości, jak gdyby ona już moją była, — nie pojmowałem, gdym wyciągał ku niej ramiona, że próżnię tylko uścisnę,— byłem w stanie umysłu dziwnym. Tworzyłem gorączkowo szalone plany i obrachowywałem środki zarazem z matematyczną ścisłością — miałem podwójną władzę fantazji i analizy. Wszystkie siły ducha podniesione do wysokiej potęgi, kipiały we mnie. Byłem jako lunatyk, który we śnie wchodzi na niedostępne miejsca pewną stopą, gdzieby nigdy nie odważył się wejść na jawie.

Z chwil podobnych szału i rozwagi, jeśli cel ich wysokim będzie, rodzić się muszą czyny zadziwiające świat; alem ja

spoglądał tylko na nią i na całym świecie widziałem ją jedną, na wpół leżącą na pochylonej łodzi, pod gorącym promieniem słońca, białą i bezsilną. Upojony stanowczością chwili, błękitem nieba, jej widokiem, zbliżyłem się do niej z owym faktycznym spokojem, jaki daje czasem gorączka.

— Łucjo, — rzekłem, topiąc wzrok w jej oczach, — czas marzenia przeminął. Wszak prawda, godzina rozstania nadeszła, powiedz mi wszystko.

Wyczytałem odpowiedź w smutnem skinieniu, wymówić jej nie miała odwagi.

— Nie lękaj się rzeczywistości, — mówiłem z wrastającą mocą, — patrz, jam silny, podźwignąć ją zdołam, powiedz tylko, że mi ufasz, że mi wierzysz. Dla czegóż cierpieć mamy?...

Łucja podała mi rękę w milczeniu i choć wzrok jej nie rozjaśnił się moim ogniem, chciałem to wziąć za przyzwolenie, a w myśli mojej przyszłość rozwi-

nęła się tęczową wstęgą.

— Jutro więc, — mówiłem rozpromieniony, ściskając jej dłoń gwałtownie, jutro tak jak dziś wypłyniemy tylko wszyscy razem i nie powròcim.... Znam wyspiarza, który ztąd wydostać się pragnie, on nas przewiezie do lądu.... Łòdź puścim na fale i wszyscy będą nas mieli za utopionych. Człowieka przekupię, zabiorę z nami. Z Hamburga popłyniem do Ameryki i zginiemy wśród powodzi emigrantòw; zmienimy nazwiska—żyć będziemy zamknięci w sobie. Społeczeństwo, które goni naprzòd, oglądać się nie będzie na ciche jednostki. To co posiadam wystarczy nam aż nadto. Odwagi chwila tylko, a przyszłość nasza. Nie lękaj się, świat szeroki, młodość silna, a cierpienie tak straszne.

Zatrzymałem sie nagle, bo w oczach jej było zdziwienie, trwoga, żal i wszystko — oprócz nadziei. Czar miłości mojej nad nią był bezsilny, uczułem to i naraz gorączka prysła, spojrzałem przed siebie

błędnym wzrokiem, jak ze snu zbudzony nie rozumiejąc prawie jedynego wyrazu odpowiedzi na jej ustach, a tym wyrazem było imię córki Chwilę stałem jeszcze na miejscu bez głosu i myśli — zimno jakieś wionęło od niej, objęło mi piersi i ścisnęło serce, jakby lodowatą dłonią; nie mogłem tchu uchwycić i padłem martwy prawie przy jej stopach.

Gdym powrócił do zmysłów, głowa moja wsparta była na kolanach Łucyi, ręka jej spoczywała mi na piersi, rachując serca bicie, a nad czołem paliły się jej smutne oczy i na myśli padła mi senność dziwna. Nie chciałem nic wiedzieć, nic przypominać sobie, lękałem się głosu każdego. Po moralnych wstrząśnieniach strasznych, po tylu dniach walki, niepokoju, przyszła chwila reakcji i wyczerpania, byłem bezsilny i rozmarzony przy niej, pod jej wzrokiem.

— Co tobie, — pytała trwożna.

— Nic... nic... szepnąłem wpół nieprzy-

tomnie. Co znaczy jutro? Komu ono zabłyśnie? Czemu cień jego ma padać na dzisiejsze słońce, odbierz mi pamięć—daruj mi dzień ten, ten piękny, ten rozkoszny dzień boży. Pozwól mi tak pozostać, aż rozkosz odbierze mi zmysły na zawsze, aż zatracę pamięć o sobie—aż chwila ta pochłonie ducha mego.

Dziwne, wówczas pragnąłem szaleństwa, nie śmierci. Zanadto dobrze było mi na ziemi, pragnąłem tak pozostać na wieki, choćby marzeniem tylko i żeby ten obraz pozostał mi w myśli na zawsze złudną rzeczywistością, gotów byłem ducha zaprzedać. Łucja milczała, ale twarz jej jakby przyciągana siłą pragnień moich pochylała się ku mnie powoli, aż usta jej spoczęły na moich ustach i włedy dwie łzy gorące padły mi na czoło i stoczyły się po twarzy. To był pierwszy jej pocałunek zmieszany z piołunem łez.

— Miej litość, — szepnąłem błagalnie, gdym potrafił przemówić, — czyż nie wi-

dzisz, że skonam bez ciebie.

Ale ona położyła mi rękę na ustach, a drugą rozgarnęła mi włosy na czole, tak samo jak to czyniła Alince, a głos jej brzmiał mi w uszach, — pieszczotliwy a łzawy. Poczęła mi mòwić wiele rzeczy, ktòrych nie rozumiałem zasłuchany tylko w brzmienie jej głosu. Jedyne słowa, jakie mogłem zrozumieć: « Jestem twoją na zawsze, » nie wyszły z jej ust. Zresztą, còż dla mnie znaczyć mogły inne słowa; musiała mòwić o cnocie, obowiązkach, o mężu, còrce, poświęceniu,—miała słuszność zapewne. Jam cierpiał.

III.

Tak przeszedł ten dzień marzony. O zachodzie słońca, którego ranne promienie budziły mnie nadzieją, byliśmy rozdzieleni niepowrotnie, chociaż obok siebie. Czułem to i patrząc na krwawą, łunę zachodu, w tej najsmutniejszej dnia godzinie, próbowałem raz jeszcze wymową serdeczną z całą logiką rozpaczy nawrócić ją ku sobie. I jak plusk fali—próżnemi były słowa moje....

Słońce zaszło za jakieś tumany mgliste, krańce widnokręgu mieszały się z morzem, wiatr ustawał, żagle zwieszone smutnie biły o maszt, jak olbrzymie skrzydła ranionego ptaka. Wszystko w około przybrało ołowianą barwę, i staliśmy zbłąka

na bezbrzeżnej przestrzeni mglistego oceanu, jak widma bez nadziei. Łucja zadrżała mimowolnie, oglądając się w koło.

— Wracajmy już, wracajmy! — rzekła do sternika.

Ale ten spojrzał na nią z rodzajem pogardliwej litości, jaką mają w głębi duszy marynarze, dla ludzi nieobeznanych z ich burzliwym żywiołem i zapalając krótką fajeczkę, wycedził tylko przez zęby:

— Wracać, wracać, łatwo to powiedzieć, piękna pani.

Przyjrzałem mu się uważnie, na twarzy jego zbronzowanej od słońca i wiatru tkwił wyraz niepokoju. W milczeniu wyciągnął rękę przed siebie, wskazując na mglisty tuman wiszący na niebie, na żagle bezsilne i na morze, które jakgdyby poruszane niewidzialną siłą, wzdymało się bałwanami i wykwitało pianą.

— Cóż to znaczy? — spytałem półgłosem, odprowadzając go na bok.

— To, że płynąć nie można bez

wiatru, a stać niebezpiecznie. Noc dobrą nie będzie, mgła zasłoniła już latarnię na Helgolandzie, wkrótce ściemni się zupełnie i daj Boże, by wówczas wiatru nie było zanadto. Stary Jakób miał słuszność, — dodał wstrząsając głową, kiedy mi mówił, bym dziś nie wypływał daleko.

Rzeczywiście latarnia gasła nam w oczach, mrok zapadał, mgła otaczała nas zwolna.

— Zarzućcie kotwicę, rzekłem po chwili. Sternik wzruszył tylko ramionami.

— Ukręć mi pan wprzód linę milową, coby tu dna morskiego dosięgła, — odparł niechętnie, i odwróciwszy się odemnie, począł półgłosem naradzać się z towarzyszem.

Nie zrozumiałem dokładnie ich rozmowy w Helgolandzkim djalekcie, wiem tylko, że mówili o podwodnych skałach, otaczających wyspę, o które tyle rozbija się statków w noce podobne.

Pierwszy raz wówczas przyszło mi na myśl

niebezpieczeństwo — dotąd zajęty burzą wewnętrzną, nie rozumiałem go wcale, i myśl ta przyniosła mi spokój i jakąś gorzką rozkosz. Dzień ten był dla mnie tak pełen wstrząśnień i zmian, odsłonił mi tak wyraźnie znikomość lodowych zamków, jakie stawiać śmiałem, że śmierć wydała mi się jedynem logicznem zakończeniem tej rozpacznej powieści, zesłanem mi przez Opatrzność samą.

Wkrótce przepowiednie sternika sprawdzać się zaczęły. Mgła tak gęsta obsiadła morze, iż z trudnością jedni drugich mogliśmy rozeznać na pokładzie statku. Wiatr zrywał się silny, a fale coraz większe szumiąc rozbijały się o boki łodzi, rzucając nią jak piłką i wdzierając się do jej wnętrza. Łódź pochyliła się pod ciężarem żagli, jak koń do biegu i płynęła coraz szybciej w jakąś przestrzeń fantastyczną, podrzucana niewidzialnemi bałwanami, bo wszystko w koło straciło kształt i barwę pod uściskiem mgły.

Zbliżyłem się do Łucji, szaty jej przesiąkłe były wilgocią, nie wiem czy zdawała sobie sprawę, z niebezpieczeństwa, czy padła na nią trwoga tej godziny, bo twarz jej bladą była śmiertelnie, a ciało drżące. Usiadłem przy niej, okryłem ją płaszczem moim i przytuliłem do siebie w milczeniu, jak dziecię dała powodować sobą ; znękana czy trwożna, potrzebowała wsparcia i szukała go we mnie instynktownie.

Tak płynęliśmy cicho czas jakiś, tylko im więcej wzmagał się łoskot fali, tym bardziej twarz jej cisnęła się do mojej piersi.

Tymczasem niebezpieczeństwo wzrastało ciągle, próżno ściągnięto wszystkie żagle, łódź biegła coraz szybciej wbrew sterowi, niesiona wichrem. Ludzie nasi modlili się głośno, gdy nagle bałwan olbrzymi o mało nas nie zatopił.

— Boże ! my zginiemy tutaj ! — zawołała Łucya, siląc się powstać.

Spojrzałem na nią ponuro i namiętnie zarazem.

— Zginiemy, — odparłem spokojnie, — wola twoja rozdzielić nas nie potrafi, zginiemy razem.

— Oh! nie, — mówiła drżąca, zasłaniając oczy rękoma, — ja umierać nie chcę nawet z tobą. Ja umrzeć nie mogę, Alinka....

To dziecię wiecznie stało między nami, czułem, żem je znienawidził. Nigdy, choć na chwilę jedną, zwyciężyć jej wspomnienia nie mogłem. Dla tego wyrzekłem z tłumioną wściekłością.

— Więc po cóż splątały się dusze i serca nasze, jeśli nawet przedśmiertnej myśli dać mi nie możesz. Tyś święta, nieskalana jak śniegi. Wola twoja nawet pozostała czystą, oparłaś się pokusom serca i nadziei. Czemuż nademną jednym nie masz miłosierdzia? czemu mi odbierasz to, co nie ty dajesz, co mi daje sam Bóg — śmierć twoją.

Spojrzała na mnie przerażona, kładąc

zwolna na czoło znak krzyża, nie wiem czy bronić się chciała przed niebezpieczeństwem, czy przed moim wzrokiem.

— To napróżno, — rzekłem, — nie ma ratunku, ja czuję że nie wyjdziemy żywi z tej łodzi. Ale nie trwóż się, wszakżeś niewinna. Grzeszna pokusa samobójstwa nie weszła nigdy w czyste koło myśli twoich, tyś nie szukała, nie pragnęła śmierci. Tylko jeżeli kochasz, — dodałem miększym głosem, — to przyjm ją z wdzięcznością, ona słodsza niż życie, niepraw-daż ?

I obejmowałem ją drżącem ramieniem, przyciskałem do piersi namiętnie.

— Na łonie mojem, szeptałem, uśpię cię na wieczność, nie lękaj się.

— Nie.... nie.... — mówiła, machinalnie wyrywając się z rąk moich, jakby uścisk mój był śmiertelny, — ja żyć muszę, ja jej nie zostawię.

Patrzyłem na nią z obłąkaniem rozpaczy, serce pękało mi w piersi, ale fala

sama niosła mi ją w objęcia, jak na szyderstwo łącząc w jednej chwili rozkosz i bòl piekielny. I tak płynęliśmy w nieskończoność, bez głosu i słów, długie godziny.

Nie wiem czy Bòg wysłuchał jej modlitwy, czy sądzone mi było przecierpieć? Powoli mgła wyjaśniać się poczęła, tuż przed nami zabłysła latarnia morska, i brzeg skalisty zarysował się czarnym konturem. Ludzie nasi radośnym powitali go okrzykiem. Łucja wpół martwaześliznęła się z objęć moich na kolana, szepcząc modlitwę dziękczynną.

Tylko ja stałem na miejscu, pijany bòlem, z niewysłowioną goryczą w sercu. Dnia tego zawiodło mnie wszystko: — morze i burza, ludzie i Bòg....

Powròciłem do siebie złamany, siły ducha mego były wyczerpane, więcej w tej chwili znieść nie mogłem, jak martwy padłem na łòżko i zasnąłem raz pierwszy od dni wielu snem kamiennym, bez ma-

rzeń i pamięci. Taki sen mieć muszą na śmierć skazani przed spełnieniem wyroku.

Gdym się obudził, słońce już było wysoko, a naprzeciwko mnie stała Brygida z listem w ręku. W liście było tylko słów kilka nakreślonych bezładnie — dość zawsze, by zabić człowieka:

« Nie mogę, nie chcę cię widzieć więcej, na co się próżno roztkliwiać, obojgu potrzeba nam siły. Jeśli masz litość, jeśli kochasz mnie wreszcie, jedź dzisiaj, jedź zaraz.... Mąż mój jutro tu będzie.... »

I to było wszystko, i to miało być ostatnie słowo pierwszej, szalonej miłości mojej. Gniotłem list w ręku z wściekłości i bólu, bo nie wiem co w tej chwili przeważało w sercu. W końcu, jak tonący rozbitek zwróciłem się do Brygidy, widocznie ona wiedziała wszystko, znała treść przyniesionego biletu, bo patrzyła na mnie przenikliwie i smutno.

— A ona? — wyrzekłem po cichu jakby wstydząc się pytania, które więcej zawarte

było w głosie niż słowach, bo wreszcie i sam nie wiedziałem o com zapytał.

Brygida jednak zrozumiała mnie.

— Pani, — odparła wstrząsając głową z wyraźnym wyrzutem, — kazała zaklinać byś jej słuchał. Oh! jedź pan, już jedź, — dodała po chwili, składając ręce.

Więc nic, nic dla mnie nie było w jej sercu, odsuwała mnie z drogi swojej jak zawadę natrętną gdym sny nasze chciał wprowadzić w życie; lękała się może spotkania mego, z tym wrogiem nieznanym. Nie wiem czemu ta myśl przywiodła mnie do szaleństwa, i jak każdy szaleniec zwróciłem się przeciw samemu sobie.

— Dobrze więc, — rzekłem zrywając się z gorączkową siłą. Stało się.... powiedz jej, że posłusznym będę natychmiast.

Zadzwoniłem, kazałem pakować, sam z machinalnym pośpiechem począłem zbierać ukradkiem wszystko co dla mnie było relikwią tej miłości, która już od tej to chwili przechodziła w świat pamiątek, a

której mimo tego bluźnić nie śmiałem. Relikwią dla mnie był każdy przedmiot, dotknięty z myślą o niej. Czułem, że za chwilę będę tak nędznym, iż te okruchy przeszłości staną mi się jedynym pokarmem ducha.

Wkrótce wszystko było gotowe, obejrzałem się raz ostatni po izdebce, gdziem przeżył w kilku tygodniach życie całe i zmarnotrawił to, co starczyć miało na długie lat pasmo. Chciałem wyjść jeszcze na wieżę i rzucić okiem na ten balkon, gdziem ją zobaczył raz pierwszy, alem się nie czuł na siłach i wyszedłem pośpiesznie, jakbym wiedział, że za chwilę gorączkowe postanowienie moje zmięknie, energja się wyczerpie, jakbym chciał korzystać z tego paroksyzmu szału....

Szedłem szybko, nie oglądając się za siebie.

— Pójdź, — rzekłem tylko do Brygidy, wlokąc ją prawie za sobą, — pójdź obacz, że wykonam jej rozkaz, powiesz jej, że

spokojną być może; powiesz jej, że mnie już niema.

Parowiec Hamburgski odszedł już był od dawna, wiedziałem o tem, alem czekać nie mógł minuty jednej. W przystani, jak zawsze, stało pełno łodzi większych i mniejszych, wsiadłem w tę, co najbliżej mnie była.

— Gdzie płyniemy? spytał mnie wioślarz, odbijając od brzegu.

Spojrzałem na niego nieprzytomnie, zdawało mi się, że każdy wiedzieć powinien rozpaczne postanowienie i czytać na mojej twarzy, żem porzucał Łucję.

— Do lądu, — odparłem, — gdzie chcesz, gdzie najbliżej, byle prędzej.

Helgolandczyk wzruszył ramionami, opuszczając wiosło.

— Trzeba większego statku, więcej ludzi, innego wiatru, — mówił powolnie.

— Weź kogo chcesz, mówiłem niecierpliwy, byle prędko, byle prędko. Zapłacę ci ile zażądasz. Jesteś młody, doda-

łem przypatrując się jego płaskim, kartoflanym rysom i chcąc w tej bezdusznej twarzy poruszyć iskrę uczucia,—ożenisz się z narzeczoną, będziesz szczęśliwy — ot, masz na huczne wesele.

Rzuciłem mu garść banknotów.

Chłopak spojrzał z niedowierzaniem na pieniądze i na mnie, chowając je z głupowatym uśmiechem, — obejrzał się po morzu i zawołał po imieniu dwóch towarzyszów.

Za chwilę łódź moja pruła fale szybkim lotem, a mnie każde pluśnięcie wiosła uderzało w serce, rozdzierając pierś niewypowiedzianą boleścią.

Brygida długi czas stała w miejscu patrząc za mną, wreszcie odeszła zwolna, ocierając oczy. Wówczas siły moje prysły nagle, przestałem pojmować jakem mógł odpłynąć i usłuchać jednego słowa wymuszonego może na tej słabej istocie trwogą lub wyrzutem sumienia; słowa, którego nie potwierdziły usta, którego już

żałowała może. Jakem mógł porzucić los nierozegrany jeszcze i oddaleniem świadczyć przeciw sobie?... Jakem mógł rozstać się z nią bez ostatecznego słowa nadziei i na zawsze opuścić to, co miało stać się życiem mojem.

Nieznośne uczucie bólu i wyrzutu wzrastało we mnie z każdą chwilą pokonywując resztki woli, a im więcej oddalałem się od wyspy i przedmioty malały mi w oczach, tym bardziej ściskała mi piersi niepohamowana tęsknota. Jak na przekorę łódź biegła szybko, aż w końcu zbrakło mi oddechu i na wpół martwy, drgający od wewnętrznej walki, uczułem się zwyciężonym. Ledwie słyszalnym głosem dałem rozkaz powrotu. Ludzie moi obdarzeni szczególną ciężkością pojęć, znamionującą lud germański, nie zrozumieli mnie zrazu. Sprężyna działań moich była dla nich zupełnie niepojętą, — wzruszając ramionami spoglądali na mnie ukradkiem jak na warjata. Musiałem drugi raz roz-

kaz powtórzyć, wówczas ulękli się może ognia płonącego w mych oczach i zwrócili ku wyspie. Ale teraz bieg łodzi zdawał mi się powolny, próżno wołałem : « prędzej, prędzej ». Zniecierpliwiony chwyciłem za wiosło, ciążyła mi bezczynność, chciałem bieg przyspieszyć i zmęczeniem fizycznem zabić czas i ukołysać zmysły.

W godzin kilka byliśmy znowu w przystani, łódź stała na dawnem miejscu, a wioślarz rachował radośnie zarobione pieniądze. Jak szalony skoczyłem na brzeg. Przez te godzin kilka przeszedłem przez wszystkie fazy rozpaczy i tęsknoty, stoczyłem bój śmiertelny z samym z sobą, nadaremnie. Szedłem znowu bezsilny i pokonany znaną mi drogą, a idąc, witałem z bijącem sercem wszystko, com porzucił przed chwilą na zawsze.

Czas i przestrzeń, tylko konwencjonalne pojęcia, niezerwane węzły dla powszednich ludzi, — pajęcze nici, krępujące nieraz ol-

brzymòw nawet nikłością swoją. Są godziny, co starczą za lata, są lata nie mające wartości jednej chwili. Czułem to instynktownie, bo czas niknął dla mnie pod wpływem wyższej siły, wymykałem się jego wszechwładzy i mierzyłem go nie biciem zegaru, ale serca biciem. Dla mnie, od chwili gdym porzucił Łucję, przeminęły wieki; więc nie wiedziałem jaką ją zastanę i drżałem wstępując na pròg jej domu, z rozłamanym duchem pomiędzy trwogą i szczęściem. Wszedłem cicho, w saloniku nie było nikogo, ale martwe przedmioty stały na miejscu i zdawały się witać dawnem obliczem. W wazonie stały kwiaty niezwiędłe, przyniesione przezemnie, wachlarz i rękawiczki, ktòre miała na morzu, leżały porzucone i nie oschłe jeszcze z wòd słonych. Na stole poezje Lenau'a otwarte były w miejscu, ktòrem jej czytał, pochwyciłem je, zdało mi się, że widzę ślady łez na karcie i zwyciężony niepojętem wzruszeniem ukryłem

twarz w książkę i zapłakałem jak dziecko.

Jak długo tak pozostawałem, nie wiem. Alinka z balkonu, gdzie się bawiła muszlami, spostrzegła mnie w końcu i przybiegła. Sądziłem zrazu, że nie zniosę widoku tej istoty, stojącej bezwiednie między mną a szczęściem; ale Alinka jak każde rozpieszczone dziecko odejść nie chciała nie zwróciwszy uwagi. Drobne jej rączki siliły się odebrać mi książkę, aż w końcu dziwnym wiedziona instynktem rzekła półgłosem wspinając się na paluszki i przykładając mi usta do twarzy:

— Mama biedna, mama chora, czemużeś przyszedł tak późno?...

Podniosłem ją w górę i uścisnąłem. Cała zawiść moja stopiła się w tym uścisku. Dziecię wskazywało mi ręką drzwi pokoju matki, szedłem za kierunkiem jej dłoni.

Łucja była sama, nieruchoma i sztywna spoczywała w rogu kanapy, — twarz jej biała jak płótno nosiła ślady jednej z tych strasznych burz, które powstają cza-

sem jak huragan południowy w głębi duszy, niszcząc niepowrotnie cały wewnętrzny świat marzeń, na wieki pustosząc serce. Była martwa prawie, tylko oczy świeciły jakimś obłąkanym blaskiem, suche i podkrążone odbijały strasznie na tej twarzy bez krwi, której blade usta drgały od łkań wewnętrznych. Dłonie jej konwulsyjnie przyciśnięte do czoła zdawały się trzymać pękające skronie, co przeświecały martwą białością pomiędzy strumieniami czarnych włosów....

Jedno wejrzenie powiedziało mi więcej niż najwymowniejsze usta, pojąłem, że miłość jej nie była mała, lecz wielką siła oporu i zapominając o wszystkiem klęknąłem przy jej stopach drżący, namiętny, szalony; a ona bez głosu i słów zarzuciła mi ręce na szyję i opuszczając głowę, na moje piersi wybuchnęła namiętnym płaczem. Ręce jej splecione ściskały mnie coraz silniej, jakby znowu lękała się utracić.

Ale była to tylko przelotna chwila, w

położeniu naszem nic się nie zmieniło. Pròżno siły jej upadały, próżno buntowało się serce, wola pozostała niezachwianą; tak, że ja com był jej ofiarą, ugiąć musiałem czoła przed tą wysoką siłą.

Zostawaliśmy tak długo w niemym uścisku, upojeni najwyższą słodyczą nieszczęśliwych, wspólnemi łzami. Oczy jej zamglone spoczywaly na mnie, pełne wyrzutòw serdecznych, że drugi raz przeboleć nam przyjdzie pełną męki chwilę rozłączenia; obojgu brakowało siły, wiedzieliśmy co nas czeka. Człowiek jest zawsze odważniejszy na bòl nieznany, spodziewane cierpienia są tak straszne, że nigdy wyobraźnia nie sprosta rzeczywistości; ci co raz mężnie przenieśli tortury, nieraz potem zachwiali się na sam widok narzędzi męki. Byliśmy jak oni w tej chwili konający duchem, wpòłzwyciężeni boleścią przeszłą i przeczuwaną.

— Czemużeś powrócił, wyrzekła w końcu, jedynie by przerwać straszną ciszę,

wśród której odchodziły nas zmysły i wola miękła.

Są chwile, których brzemię odbiera nam świadomość bytu, ogarnieni obumarłym spokojem nosimy w piersiach zatrutą strzałę, jak gdybyśmy jej nie czuli, bo wyczerpaną jest miara boleści.

— Nie mogłem cię porzucić, odparłem jednostajnym, rozbitym głosem, który w uszach moich nawet brzmiał fałszywie, siląc się próżno przypomnieć sobie własne wyrażenia. Nie mogłem cię tak porzucić bez ostatniego słowa pożegnania-nadziei.

Ale cierpienie przechodziło już u nas w tę straszną fazę w której jednoczyć przestaje. Każde z nas zamknięte było w sobie. Łucja nie zrozumiała nawet tego odcienia w głosie wskazującego, że wyrazy są wyrazami tylko i przestały być znakami myśli. Mówiła jakby do samej siebie cicho, powolnie:

— I cóż ja tobie powiem, co mogę powiedzieć.... Wszystko co zowie się w życiu

słodyczą,—odjętem mi zostało, nie znam nic z tego co jest nadzieją Łamałam się przez wiele boleści, gorzkim mi był świat i twardemi ludzie, nigdy zmordowana nie znalazłam wsparcia....

Pierwsza to była skarga, którą z ust jej usłyszałem, trzeba było podobnej chwili, by wycisnąć ją z tego hardego serca.

— A ja, — rzekłem porwany szałem, chwytając jej ręce, ja ślubuję ci przyszłość całą.... nie masz nadziei, uwierz we mnie; wsparciem twojem, słodyczą życia chcę być, będę! Rządź mną według woli twojej, zawsze i wszędzie znajdziesz mnie posłusznym skinieniom twoim.

Ale Łucja patrzała na mnie tak smutnym wzrokiem, choć usta uśmiechnąć się chciały, żem zamilkł, objęty dziwnem przeczuciem.

— Czy wiesz co to przyszłość? spytała, czy znasz serce własne?... Nie mów mi o jutrze, ja wiem, że dla mnie go niema.

IV.

Próżnemi były wszystkie przysięgi i zaklęcia, nie chciała czy nie mogła mi wierzyć. Nie potrafiłem nawet w tem rozbitem sercu wzbudzić ufności w siebie, w siłę i czar tej miłości. Doświadczenie czy przeczucie stało naprzeciw mnie i walczyło zwycięzko. A czas uchodził, dzień zbliżał się do końca, — jam nie mógł ni odejść, ni pozostać, targany jej i moim bòlem i coraz bardziej szalony.

Jakim sposobem rozstaliśmy się dnia tego, jak potrafiłem odpłynąć, sam sobie sprawy zdać nie mogę dzisiaj. Są w życiu chwile niebezpieczne i stanowcze, w których najsłabsze istoty nabierają jakiejś do-

rywczej, nerwowej siły, dającej im przewagę nad krwią i ciałem. Ona była w jednej z chwil takich i musiała zapanować nad szaleństwem mojem, musiała zawieźć mnie do przystani, na statek wprowadzić. Czas ten mgli mi się tylko w pamięci, jak niepewne majaczenia gorączki. Byłem w stanie odrętwienia i rozpaczy, która zmogła w końcu fizycznie siły. W pół martwy przybyłem do Hamburga i zostawałem przez kilka miesięcy pomiędzy życiem i śmiercią.

To jedno rozłączyć nas mogło, inaczej daremneby były postanowienia, prośby przysięgi, daremne pożegnania. Sto razy byłbym powrócił lub gonił ją po świecie, bez snu i spoczynku, bez pamięci na nic, aż byłbym ją odnalazł i skonał przy jej stopach ze szczęścia i bólu.

Gdym odzyskał przytomność i mógł powstać z łóżka, nie wiedziałem gdzie jej szukać. Próżnemi były wszystkie poszukiwania i podróże. Traf, szyderstwo losu,

czy tajemnicza duchowa logika, która czasem niewidzialnie kieruje ludźmi, wystawiając ich na dziwne próby, rozłączyły nas może dla tego, byśmy w boleści i tęsknocie mogli doświadczyć siły wytrwania serc naszych. A jam nie wytrwał, może wytrwanie zabiła zawczasu jej niewiara w przyszłość, może zostałbym niezmiennym wiedząc, że ona opiera się na mnie, że promień niewidzialny łączący nas istnieje! Bądź co bądź wina była spełniona, dziś przyszła chwila pokuty, bo żadna wina nie zostaje bez kary. Dziś ona, Łucja, odzywała się do mnie i dawna miłość, jak umarły na głos trąby archanielskiej, powstała w głębi piersi mojej w całej sile i ogniu pierwotnym, a mnie wiązały tu inne uczucia. Nie przeniewierzyłem jej się sercem ni duchem, miejsca jej nie zajęła Marynia, ale szalejąc pod naciskiem bólu, pragnąłem zapomnieć; chciałem zagoić wielką bliznę łona, a już pragnienie to było bluźnierstwem.

Są ludzie co czekać umieją, co przyzwyczajają się do cierpienia jak do powolnej trucizny, co żyć potrafią wspomnieniem, tęsknotą i miłość nieskalaną odniosą do grobu, jako abstrakcję nigdy nie zmieszaną z życiem. Nie wiem czy to jesł miarą ich namiętności czy siły oporu. Ja tak nie mogłem. Miłość ta stała mi się biciem serca i krwi biegiem, myślą stałą, około której jedynie duch mój kołował, trzeba mi było umrzeć lub zapomnieć.

Miałem lat dwadzieścia kilka i ciało żelazne, — zmogłem chorobę.

Przez jakie przechodziłem szały, jakie wichry i burze zrywały się w piersi mojej, ileż razy nęcił mnie czar śmiertelny i zrozpaczonemu podawał truciznę lub ostrze żelaza. Napróżno duch mój nienasycony łaknął szczęścia, jam nie pragnął umrzeć samotny, ja chciałem żyć przy niej. Nie należałem do ludzi, którym marzenie wystarcza, marzenia okupywałem kosztem życia, bom je w życie chciał

wcielać. Ale burze podobne w stan normalny zmienić się nie mogły; po chwilach szału następowała niemoc, wyczerpanie i jakiś straszny spokój osłupienia, Powoli burze stawały się rzadsze, siła akcji i reakcji słabła w miarę oddalenia, a nigdy i nigdzie nie doszła mnie wieść o niej, nie usłyszałem jej nazwiska ni echa przeszłości. Umyślnie czy przypadkiem skryła się przedemną, jak kamień na dnie oceanu i miłość ta poczęła wydawać mi się snem nieprześnionym, który budził mnie jeszcze po nocach i rozmarzał we dnie.

Powróciłem do kraju i zdawało mi się zrazu, że woń ojczystego powietrza zagoiła wszystkie dawne rany, że wracając pod rodzinną strzechę mogłem zostawić za progiem przeżyte lata i przecierpiane bóle. Zdawało mi się, żem odzyskał swobodę. Złudził mnie czar domowego ogniska, zastałem w nim Marynię, sierotę i krewną pod opieką matki mojej bę-

dącą. Przylgnąłem do niej, by przylgnąć do czegoś na świecie; jedynie dla tego, że była młodą i piękną. Codzienna to powieść dla serc niemęzkich, dla ludzi, którėmi okoliczności kierują. Marynia pokochała mnie owem instynktownem uczuciem, jakie ma każda szesnastoletnia dziewczyna dla pierwszego co stanie na jej drodze; jedynie dla tego, że jest pierwszym. Słowo « kocham » było podwójnem kłamstwem w naszych ustach, Zamieniliśmy pierścionki, przeniewierzyłem się samemu sobie.

A teraz Łucja odzywała się do mnie, pamiętna może ostatnich słow moich i przysiąg namiętnych a marnych. Może zmieniły się warunki jej życia, znikły krępujące więzy, może dłużej znieść ich nie podoła i zwraca się ku mnie bym je skruszył, może....

I serce moje biło najsprzeczniejszemi uczuciami, aż drżącą ręką rozerwałem pieczątkę....

Ale sen mój o przeszłości trwał długo; gdym powstał i obejrzał się w koło pijany jeszcze wspomnieniami, noc była już na schyłku, lecz przy niepewnym blasku jutrzenki próżno siliłem się odczytać jej pismo.

Skierowałem się machinalnie ku domowi szukając światła, a tymczasem najrozkoszniejsze marzenia wionęły na mnie zwiększając jeszcze uczucie upokorzenia, jakiem mnie przejmował grzech chwili odstępstwa. Tak łatwo bierzemy za rzeczywistość pragnienia, wmówiłem w siebie, że ona mnie wzywa, uwierzyłem w to bez wahania i czułem to jedynie, że ją znów zobaczę, zobaczyć muszę, choćby jak dawniej w bólu i męce. A na tę myśl samą krew zalewała mi serce, świadomość tej chwili zabijała mnie prawie rozkoszą. Wówczas rozumiałem, iż mimowiedzy cierpienie stało się nam nierozerwalnym węzłem, że miłość ta jak suknia Dejaniry zrosła się na zawsze z

istotą moją....

Na progu werendy, na tem samem miejscu gdziem ją zostawił wieczorem, stała matka moja. Postać jej wysoka, ciemną szatą odziana, roztapiała się w mroku porannym i tylko głowa wsparta na ręce a zwrócona ku mnie świeciła w pół cieniu białym włosem i bladością czoła. Stała tak może noc całą odczuwając w głębi serca burze co mną miotały, ale usta jej nie wyrzekły pytania żadnego, umiała szanować milczenie. kochanie jej nigdy w moralne nie zamieniło się jarzmo. Matka moja nie była zwyczajną kobietą, życie jakkolwiek gorzkie nie wygasiło w niej miłości, lecz przyniosło wiedzę. Znała pokusę, — więc litowała się nad upadkiem; cierpienie, — więc rozumiała wartość łzy i zamiast pogardzać, otworzyła serce szeroko boleściom i kalectwom ludzkim. W ogniu cierpienia wypaliły się, wszystkie niższe pierwiastki jej istoty a duch coraz wyraźniejszem piętnem znaczył jej rysy.

Piękność zamiast więdnąć, przeobrażała się tylko, jaśniała tajemniczym blaskiem. Czoło szerokie, zaledwie przerznięte podłużnemi zmarszczkami, miało pogodę przecierpianego męczeństwa. Oczy ciemno-szafirowe w głąb zapadłe, świeciły z za mgły łez, jak ogień grecki pod wodą. Wzrok jasny i przejmujący, jakby myśli ludzkie stały przed nim otworem, obciążony był Chrystusową słodyczą przebaczenia. Lice jej było białe, usta blade, krew uszła z jej twarzy przez serdeczne rany, a życie skupiło się w oczach. Żadne cierpienie na próżno nie zwracało się do niej, żadna chwila życia zbyt wysoką nie była, potrafiła sprostać każdemu położeniu, ból i radość zastały ją zawsze gotową, i unieść nie mogły z obranej drogi. A jednak jam dotąd zawsze milczał przed nią, z rodzajem dumy kryłem rany moje i nigdym nie umiał serca obnażyć.

Są rany tak palące, iż najlżejsze dotknięcie jest męką, — są cierpienia, z któremi

mierzyć się tylko można oko w oko bez świadków. Słowo wyszłe z ust naszych staje nie z nami, ale przeciwko nam w walce życia. Próżne skargi roztkliwiają ducha, odbierając mu hart i siłę. Milczałem więc, póki przeszłość nie wychodziła z abstrakcyjnej dziedziny wspomnień. Ale dziś ona upominała się o cząstkę swoją, o chwilę obecną, mieszała się do życia i stawała faktem.

Prawdopodobnie list ten powoływał mnie ztąd daleko, może na zawsze. Opuszczając kraj i dom rodzinny, na kilka dni przed ślubem zrywając serdeczne węzły, niwecząc cudze nadzieje, musiałem wypowiedzieć przeszłość.

Zbliżyłem się do matki z wezbranem sercem i klękając przy niej, przycisnąłem gorące czoło do jej kolan.

— Co tobie, Emanuelu, spytała i podnosząc głowę moją spojrzała mi w oczy. Wyczytała w nich różne sprzeczne uczucia i po nad wszystkie górujące

uczucie szczęścia. Uśmiechnęła się lekko, szczęściem mojem oddychając z głębi piersi, jakby spadł tłoczący je ciężar.

— Co tobie? powtórzyła miękko, takim jak dzisiaj nie widziałam cię nigdy.

— Jestem szczęśliwy, odparłem, choć nim może być nie powinienem. Czy pamiętasz, mówiłem po chwili, zbierając myśli rozpierzchłe, jakiem słowem żegnałaś mnie przed laty.

— Słowem, które jest wiarą moją, wyrzekła, — powtarzam ci je od kolebki i zawsze powtarzać będę: — Idź przez życie nie oszczędzając siebie, mniejsza co cierpieć ci przyjdzie, byleś nie zadał cierpienia.

— Postąpiłem wbrew słowom twoim, odrzekłem spuszczając głowę. Patrz, stałem się powodem boleści, wycisnąłem i wycisnę łzy, a mimo wszystko głosu szczęścia zgłuszyć nie mogę w głębi piersi, powiedz mi co mam czynić?

Matka cofnęła się, zdziona gorączkową siłą słów moich, a ja klęczałem rozpło-

mieniony pod jej łzawym, pytającym wzrokiem.

— Życie twoje, rzekła w końcu, powolnie przesuwając mi rękę po czole, jakby fale myśli uspokoić chciała, nie mogło zamknąć się w ciasnem kółku, wśród zapasów ducha, mogłeś ranić, zabijać nawet, ale nie stałeś się dla tego twardym i okrutnym. Mogłeś grzeszyć Emanuelu, ale na czole nie masz znaku upadku, ja wierzę oczom więcej niż słowom twoim.

— Prawda, odparłem powstając, a jednak jak mnie nazwiesz, jeśli jutro porzucę Marynię i wyjadę ztąd na długo?

— To być nie może, zawołała matka moja, blednąc i opierając się o ścianę, ty tego nie uczynisz, nie możesz uczynić....

— Muszę! odparłem, a głos mój drżał echem jej boleści, słowa moje kłamstwem nie były. Przeszłość ciąży na dniu dzisiejszym, przeszłość mnie wzywa, przyszedłem pożegnać się z tobą.

— A Marynia? szepnęła matka, cóż ja

jej powiem?...

— Marynia, powtòrzyłem obojętnie z odcieniem niecierpliwości w głosie, czyż i ona nie potrafi zapomnieć? Czyż i ona należy do wybranych potępieńców świata?... Nie, nie, Marynia nie jest ze mną w pokrewieństwie ducha, zaręczyny z nią były grzechem. Szczęście, które mi piersi rozszerza, nie jest gnuśnem szczęściem bezczynności i odrętwienia, jakie ona dać mi mogła. Ja idę na zapasy i burze, mętny horyzont przedemną; wiem, że nie znajdę spokoju, że trzeba mi będzie iść na przebój, uzbroić się przeciw tysiącznym pociskom. A jednak serce bije mi radośnie, bo lżej mi oddychać atmosferą walki niż ciszy, boś ty matko, wychowywała mnie do walki i wlałaś w piersi pragnienie wszystkiego, co trudne i niepowszednie.

Mòwiąc to ożywiałem się stopniowo, niepewność i żal mijały, a duch coraz swobodniej rozwijał skrzydła jak ptak co trafił na prąd powietrza właściwy. Matka

moja spoglądała na mnie w cichem zdumieniu, słowa moje znajdowały oddźwięk w jej myśli, pokonywały buntujące się uczucia i nakazywały mi milczenie.

— Jaka powinność powołuje cię ztąd tak nagle?... spytała w końcu, patrząc na mnie tym wzrokiem, co wpijał się w najskrytsze tajniki myśli.

— Godzina wyznania nadeszła, odparłem, osądź mnie, ty rozumiesz rozterki ducha, omdlewania serca i tę straszną rozkładową władzę, jaka, wywiera świat powszedni, na to wszystko, co powszedniem nie jest. Kocham, kochałem lecz cierpienie wydało mi się zbyt ciężkiem, siliłem się zapomnieć i razem z pamięcią serca, zatracałem samego siebie. Dziś....

— Dziś, przerwała mi matka, a w głosie jej drgała ukryta trwoga,—bym nie stanął niżej od jej pojęć....

— Dziś poznałem, że to na próżno, mówiłem dalej, że wola moja nikczemniejszą była od serca. Przez brak męz-

twa wstąpiłem na fałszywą drogę i zejść mi z niej ciężko, stałem się i stanę powodem cierpienia. Oto cała spowiedź moja, powiedz, czy mogę się wahać?...

— Nie! odparła po chwili, podnosząc głowę, droga twoja jest wyraźna, przed tobą duch własny ci ją wskazuje, stanąłeś już na stopniu dojrzałości, sam wiesz czego ci potrzeba, gdzie twoja powinność. Nie wedle czczych formułek i utartych pojęć, ale wedle sumienia. Tam, gdzie ci serce silniej uderza, gdzie się rozszerza horyzont wzroku, gdzie duch mężnieje, — tam spełniasz twój obowiązek, jesteś w prawdzie z Bogiem....

— Jedź, dodała po chwili drżącym głosem, a oczy jej jak gwiazdy przewodnie błyszczały mi nad czołem, jedź, ale nie myśl o szczęściu, Emmanuelu, ludzie tobie podobni cierpią zawsze, bo to jest ich smutną cechą. Świat widząc żeś silny, obarczy cię nad miarę, ludzie nie przebaczą ci nigdy, żeś wyżej nad sąd ich postawił

sumienie,—lecz siły wzrastają w miarę ciężaru, odwaga w miarę boleści. Dziś i zawsze wyznawcy przyszłości krzyżowani będą, kuszeni do odstępstwa, obarczeni szyderstwem i pogardą tłumu. Nadto znasz życie, byś o tem nie wiedział, zanadtoś już przecierpiał, by wybierać bezwiednie. Idź więc krzyżową drogą w pośród mąk bez nazwy, w sieroctwie ducha, w tęsknotach i opuszczeniu, idź i nieupadaj. Błogosławię ci mój synu, błogosławię ci na szczęście!...

Opuściła smutnie dłonie bezsilne i patrzyła na mnie mglistem okiem tak boleśnie, jakby przerażona sama złowieszczemi słowy i dumna zarazem, żem się ich nie uląkł.

A mój duch mężniał przy tem mężnem sercu, chwila ta w puch rozwiewała ostatnie marzenia przyszłości, a jednak nie ugięła się pod jej ciężarem.

Długo trwała między nami uroczysta cisza, aż mdłe promienie świtu rozpło-

mieniły się purpurową łuną wschodzącego słońca a rumiane blaski padły na twarz matki mojej marmurowo bladą i na moje lica rozgorzałe. List otwarty w moim ręku zajaśniał różową barwą.

Rozwinąłem go szybko.... był bardzo krótki.... Wyczytałem te słowa:

« Panie!...

« Zapewne czas zatarł już od dawna pamięć pobytu naszego w Helgoland lat temu parę i okoliczności, które się z nim wiązały. Z owego czasu pozostało mi jednak w ręku kilka listów, może być, że i pan posiadasz podobnie moje. Darujesz mi więc, że się o nie upomnę, świstki papieru bywają niebezpieczne. Ta myśl zatruwa mi nieraz wspomnienie krótkiej znajomości naszej. Chciej mi Pan zwrócić te dziecinne listy, pośredniczyć nam będzie w tym względzie Pani***. —

Tu następowało nazwisko i adres osoby, znanej mi zdaleka.

— Spodziewam się, że mi Pan nie weźmie za złe tego kroku, do którego znagliły mnie ważne względy, — jako matkę i kobietę. Miło mi przytem załączyć wyrazy prawdziwego szacunku ».

Przeczytałem to pismo raz i drugi, sądziłem z początku, że zmysły rozstrojone przeniewierzyły mi się i wprawiają w obłęd. Ale musiałem zrozumieć je w końcu, były aż nadto wyraźne, jednolite, by jakiekolwiek wahanie pozostawić w myśli. Sam nawet dobór wyrazów uderzał lodowatą konwencjonalnością, zdradzał ciasnotę pojęć tej, co je pisała w ten, a nie w inny sposób. Czy upadła ona tak nizko, czyli tylko myśl moja stawiała ją wysoko, — nie miałem w owej chwili rozwagi, ni czasu do zastanowiania się nad tem.

I to była istota, którą tak ukochałem, na której samo wspomnienie krew moja kipiała warem.... Byłbym może wybuchnął homerycznym śmiechem, gdyby nie ból ściskający serce.

List ten zasługiwał na śmiech rzeczywiście, a ja sam może więcej jeszcze. Ja, który szaleńszy od Don Kiszota mocowałem się z wiatrakami, biorąc je za duchy olbrzymów, nie noc jedną, ale kilka lat życia. Gdybym był mógł, parsknąłbym śmiechem we własne oczy.

Nie mogłem, stałem jak wryty, wspierając się na balustradzie, bo mi tchu i sił zabrakło. Nie zrywa się tak łatwo z tem co stanowi treść życia, czułem, że coś sie rwie w głębi serca, że mi głowa pęka !...

Więc po to tylko zbudziłem się z duchowego letargu, po to powróciłem do życia, by przecierpieć ostatnie szyderstwo losu, pogardzić tem co czciłem i stracić nawet wartość wspomnienia. I jak zwykle bywa, cios ten ugodził we mnie w chwili, gdym go się najmniej spodziewał, gdym bezpieczny śnił o jutrze i przewidywał wszystkie cierpienia, prócz najstraszniejszego.... n i c o ś c i.

Matka moja patrzyła na mnie zdziwiona i widząc, że wzrok mòj sztywno utkwiony był w tem piśmie, że spoglądając na papier stawałem się bielszym od niego, pochyliła się na moje ramię i wyjęła mi go z drżącej ręki. Nie opierałem się, nie miałem siły. Przebiegła go oczyma, znać zrozumiała, bo lekki cień pogardy ściągnął jej usta, nie wyrzekła słowa, tylko wzrok jej płonął, broniąc mnie od zwątpienia i unosił ducha mego w te wysokie kraje, gdzie nie ma już zdrady ni odstępstwa.

— Spełniło się szybko proroctwo twoje, wyrzekłem zwolna, rozglądając się w około, jak zbudzony ze snu ciężkiego. Pobłogosławiłaś mi na nieszczęście....

I zakryłem twarz rękoma, bom się czuł zwyciężony i wstydziłem się niemęzkiego żalu.

W tej chwili okno Maryni otworzyło się i jej głòwka zaświeciła na tle ciemnem firanek—biała, uśmiechniona, rumiana jak

zorze. Wyjrzała na ogród błyszczący poranną rosą i, jak ptak zbudzony zanuciła wesoło. Noc zwiała jej z czoła ślady wczorajszego smutku, pamięć o nim utonęła pewnie w pośród snu bez marzenia, bo wielkie jej niebieskie oczy miały niezmącony wyraz spokoju.

Matka moja wskazała mi ją ręką w milczeniu, zrozumiałem to nieme pytanie i nie odrzekłem nic zrazu, na myśli padła mi uroczysta cisza, zaglądałem w siebie. Czułem że ta świeża boleść nie była mi bezkorzystną, żem wzrósł na duchu pod jej zimnym uściskiem. Miałem tę siłę i ten hardy, litosny spokój, jaki daje czasem przeświadczenie o niesprawiedliwości zniesionej mężnie, o wyższości nad krzyżującym światłem. — spokój jaki daje samotność ducha.

— Pomiędzy mną a Marynią, wyrzekłem w końcu, wszystko skończyło się niepowrotnie, bo wiecznie stanie pomiędzy nami pamięć tej nocy bez snu przema-

rzonej, pamięć wzruszeń, których samo wspomnienie wywróciło obecność, jak podmuch wiatru kruchą z kart budowę. Zresztą cóż znaczy list ten, omyłka serca, nizkość tej kobiety w obec mojej wiary? Nie daję żadnej istocie na świecie prawa nad sumieniem mojem, indywidua przeniewierzyć się mogą ideom, któreśmy w nich wcielili, ale te idee pozostają zawsze niezmienne, ja wierzyć muszę w to co czuję. Ślubując przyszłość Maryni, — zgrzeszyłem przeciwko samemu sobie, kłamałem zarówno przed sobą jak przed nią; słusznie napotkałem cierpienie, ono mnie zbawiło. Dziś poznałem dokładnie serce własne i pozostanę wiernym jemu,—nie tej kobiecie!....

KONIEC

ODBITO NAKŁADEM MIKOŁAJA
MOJZESOWICZA W DRUKARNI „ALDINA"
POD ZARZĄDEM V. BIAGI'EGO.
SKŁADAŁ: U. PICCHIANTI.
ODBIJAŁ: A. MANETTI.
DRUK UKOŃCZONO
26 PAŹDZIERNIKA.
FLORENCJA.
MCMXIV.

NAKŁADY WYDAWNICTWA POLSKIEGO WE FLORENCJI.

WSZYSTKIE WYDAWNICTWA WYMIENIONE W SPISIE NINIEJSZYM OTRZYMYWAĆ MOŻNA W KSIĘGARNIACH W KRAKOWIE, LWOWIE, POZNANIU ORAZ CENZURALNE W WARSZAWIE.

Administracja wydawnictwa:

Florencja via del Crocifisso I p. p.

MIKOŁAJ MOJZESOWICZ.

Skład główny w Krakowie. S. A. Krzyżanowski. **Rynek linja A-B.**

LEONARD KOCIEMSKI.

NA DRODZE ŚMIERCI.

(*Zabronione w zaborze rosyjskim*).

Cena 1. K.

— « Książka ta jest pomnikiem krucjaty przez jaką przeszła miłość matki polskiej w tragicznych latach rewolucji ostatniej. Spokojnie i pięknie napisana, rzekomo drobna rozmiarem, posiada siłę dzieł pomyślanych monumentalnie. Autor na niewielu stronicach ujmuje psychologję matki wlokącej się bezsilnie ku synowi zamkniętemu w twierdzy i rzuca przed oczy czytelnika z potężną siłą obraz grozy i bólu pełen.

Smutna opowieść, — rzecby można, — o potwornym śnie, o ponurym majaku szubienicy ».

LEONARD KOCIEMSKI.

LISTY Z WIĘZIENIA.

(Zabronione w zaborze rosyjskim).

Cena 1 K. 50 k.

— « Obie części tej książki mają w sobie wyjątkową siłę mocnego i szczerego uczucia. Pierwsza, — daje obraz smutku i rozpaczy beznadziejnej, ile jej naonczas było nietylko w sercach więźniów ale ile się mieściło w piersi każdego prawego człowieka czującego i sprawę przegraną i złą przemoc ciemiężycieli: — jest ona wyrazem zdeptanego ducha ówczesnej chwili.

Druga,—to wyznanie dostojnej wiary w odrodzenie polskiego narodu przez polski lud,—a godłem jej słowa :—« Ziści się sen o pługu przekutym na miecze ».

HR. A. DE LA GARDE.

WSPOMNIENIA Z KONGRESU WIEDEŃSKIEGO.

— 1814-1815. —

SPOLSZCZYŁA IRENA MARRENÉ

w druku.

« — Niedawno w Monachjum ukazały się pamiętniki hr. de la Garde po niemiecku p. t.: — « *Gemälde des Wiener Kongresses* ». —

Oryginał francuski, (wydany w roku 1843, w Brukseli) z którego dokonane zostało niniejsze tłumaczenie, jest najzupełniej wyczerpany.

Książka ta jest zbiorem anegdotycznych szczegółów o aktorach powołanych przez los do odegrania tak ważnej roli dziejowej. Barwne tło uroczystości i zabaw urządzanych przez dwór wiedeński w ciągu trwania kongresu, dopełnia całości. »

WALERJA MARRENÉ MORZKOWSKA

FRAGMENT.

(Powieść).

— « Powieści Marrenowej w swoim czasie odgrywały poważną rolę w dziejach naszej umysłowości. Zapominać nie należy, że Walerja Marrené była jedną z pierwszych bojowniczek o wolność kobiety jej prawa życiowe. Należy ona do naszych wielkich kobiet łącznie z Konopnicką i Orzeszkową ».

. . . .

WALERJA MARRENÉ MORZKOWSKA

PUŚCIZNA BRZESZCZA.

(Powieść zabroniona w zaborze rosyjskim). *w druku.*

LEONARD KOCIEMSKI.

LEGENDA O CICHEJ RUINIE.

Cena 60 h.

. . . .

BOHATEROWIE 1830 ROKU.

PIOTR WYSOCKI.

Cena 70 h.

— « Egzemplarz okazowy popularnej bibljoteczki, która ukazywać się będzie w miarę możności, jako pewnego rodzaju czasopismo historyczne dla wszystkich kogo historja polskiego narodu obchodzi.

. . . .

„ *Biblioteka Nowelistyczna* “

wychodzić będzie perjodycznie w tomikach obejmujących 8—10 arkuszy druku. Pomieszczać będzie wyborowe utwory nowelistyczne polskich i zagranicznych pisarzów, których nazwiska zyskały zasłużony rozgłos i poczytność a zarazem zdobyły prawo obywatelstwa w literaturze wszechświatowej.

Każdy tomik *Biblioteki nowelistycznej* stanowić będzie osobną całość. Cena tomiku wynosi **Kor. 1.50.**

Między innemi zamieścimy zbiór nowel: Fr. Coppe'ego, Jana Nerudy, A. Czechowa, Fr. Molnara, M. Jokaja, Sandora Gjalskiego, Artura Gruszeckiego, Ant. Fogazzaro, O. Wilde'a, Leonarda Kočiemskiego, G. d'Annunzia, Awerczenki, Knuta Hamsuna, A. Schnitzlera, Selmy Lagerlöf, Jerome-Jerome, A. Kuprina, R. Kiplinga, Marka Twaina, I. Lemaitre'a, Catulle Mendès'a, Strindberga, J. Vrchlicky'ego, i w. i.

Księgarnia nakładowa
Jana Czerneckiego
w Wieliczce.